



Kryminał z myszką

13

MASKA ŚMIERCI

DR JERZY KOSTRZEWA
PROWADZI ŚLEDZTWO

T a d e u s z
K o s t e c k i

Tadeusz Kościński

MASKA ŚMIERCI

Kryminał z myszką – Tom 13

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-48-9

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS ROZDZIAŁÓW

Noc nadchodzi

Wstaje dzień

Aktorzy znikają ze sceny

Świadek w oknie

Dom pod lasem

Już tylko jeden trop

Proces

Zofia sięga po środki nadzwyczajne

Im dalej w las

Akcja obcego wywiadu?

Ulica Hutnicza nr 8

Wszystko inaczej

Noc nadchodzi

I

Milczał przez długą chwilę, przygryzając wargi.

– Zrozum, ja już nie mogę dłużej – powiedział wreszcie – to się musi rozstrzygnąć.

Jakkolwiek.

Głos Stefana był zdecydowany i twardy.

Dotknęła lekko jego ramienia.

– Rozumiem. Jakżebym mogła nie rozumieć. Tylko że to naprawdę nie potrwa długo.

Potrząsnęła głową.

– Często to powtarzasz. Za często.

– Ale teraz... Byłe przeczekać te kilka najgorszych dni.

– Najgorszych?

– On jest bardzo zdenerwowany...

Wzruszył ramionami.

– Zawsze jest taki.

– Ale ostatnio – powiedziała niepewnie – ostatnio... bardziej niż kiedykolwiek. On... po prostu chwilami nie panuje nad sobą. Może to w związku z wynalazkiem, nad którym teraz pracuje. Nie chciałabym, aby pomiędzy wami doszło do czegoś... – urwała – do czegoś, co mogłoby jeszcze bardziej skomplikować całą sytuację – dodała z trudem. – Nie chciałabym – powtórzyła niemal szeptem.

Coś w brzmieniu jej głosu zwróciło uwagę Stefana.

– Nie rozumiem cię – bezskutecznie usiłował zajrzeć w umykające oczy.

Milczała. Z niepokojem nadśluchował przyspieszonego rytmu jej oddechu. Tak, jak by całym wysiłkiem woli powstrzymywała narastający w głębi piersi płacz. Przesunął końcem języka po nagle zaschłych wargach.

– Powiedz – objął ją mocno ramieniem: – powiedz, co to ma znaczyć. Przecież on... przecież nawet on nie ośmielił się chyba podnieść na ciebie ręki – zacisnął kurczowo palce na kierownicy.

– Nie mówmy o tym – poczuł na twarzy jej ciepły oddech. – To przecież nie ma żadnego znaczenia.

A więc tak. Czyż mogła odpowiedzieć wyraźniej?

– Ja go... – wyrzucił zduszonym szeptem.

– Nic nie zrobisz, nic – przykryła jego rękę swą wąską dłonią. – Nic... Nie będziesz z nim rozmawiał, nie zobaczysz go nawet, do chwili gdy wszystko – będzie skończone. Obiecuj, musisz to zrobić dla mnie – szeptała błagalnie, gdy trwał w zawziętym milczeniu – dla nas.

Anemiczne światło połyskujące na wskaźnikach tablicy rozdzielczej wydobywało z mroku jego ściągniętą, chłodną twarz. Za szybą samochodu pusta ulica powtarzała kroki spóźnionego przechodnia. Nad betonowymi stopniami schodów płonęła latarnia.

– Dobrze – rzucił przez zaciśnięte zęby – zrobię jak zechcesz. Ale wierz mi – moja wytrzymałość już się kończy.

– Jeszcze tylko parę dni... parę ostatnich dni.

Podniósł do ust jej dłoń.

– To się musi rozstrzygnąć – powtórzył.

– Do jutra – musnęła jego wargi przelotnym pocałunkiem – muszę już iść.

Przytrzymał ją, obejmując mocnym uściskiem.

– Gdyby jednak twój... – słowo „mąż” nie chciało mu przejść przez gardło. Był nim jednak. Wciąż jeszcze był – gdyby posunął się za daleko... – Wyśliznęła się delikatnie z jego ramion.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Pa, kochany...

Wysiadła. Gonił wzrokiem jej smukłą sylwetkę, gdy szła szybkim krokiem w kierunku betonowych stopni opadających w dół ulicy. W dole połyskiwały spadziste dachy. Rzadkie paciorki latarń znaczyły kręte linie ulic profesorskiego osiedla. Domy stały senne i ciche, tylko z nielicznych padał żółtawy odbłask światła. Mała miejscina w samym sercu tętniącej gwarem i ruchem metropolii.

Poszukał oczyma ich domu. Znał go dobrze, tyle razy w nim bywał.

Tylko jedno okno było oświetlone, reszta połyskiwała martwym szkliwem ciemnych szyb. Właśnie to okno. Jego gabinet. Nie śpi.

– Praca nad wynalazkiem? – wrzucił gwałtownie ramionami. – Nonsens. Czatuje na jej powrót.

Na czoło wystąpiły mu grube krople lepkiego potu. Spoza opuszczonych szyb samochodu ciągnęło ostrym chłodem. A jednak było mu nieznośnie gorąco, czuł w skroniach natrętny rytm pulsującej krwi.

Porywczym ruchem zrzucił z siebie skórzany płaszcz. Szeroko rozwarte usta z trudem łapały oddech.

Krótki błysk lampy umieszczonej w daszku nad schodami. A więc weszła do wnętrza. A tam, w pułapce ścian tego przeklętego domu, był on – człowiek, który nie liczy się zupełnie z niczym.

Od tej chwili działał jak w transie. Trzasnęły pchnięte gwałtownie drzwiczki. Wyskoczył. Parę szybkich kroków, potem zaczął biec. Po co? Co zamierzał uczynić? Nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiedział tylko jedno: nie pozwoli jej skrzywdzić. Za żadną cenę. Tupot kroków łomotał głuchym echem w pustej uliczce.

Targane ostrymi porywami wiatru drzwiczki samochodu postukiwały z blaszanym oddźwiękiem o karoserię. Niebieskawa poświata małej żaróweczki padała na pozostawiony w stacyjce patentowany kluczyk.

II

Irena długo nie mogła trafić kluczem do otworu zamka. Jej ręce były odrętwiałe i zimne. Z uczuciem lęku nacisnęła klamkę. Schody tonęły w mroku. Nie, nie było go tu. Widocznie czekał aż znajdzie się w swoim pokoju.

Przekręciła włącznik. Z sufitu spłynęła powódź mdłego światła. Ociężale wchodziła na górę. Wiedział już, że wróciła. Z całą pewnością wiedział. Jego okno było oświetlone. Być może stał ukryty za framugą. Jakże często oczekiwał w ten sposób jej powrotu. Weszła do swego pokoju. Jej pokój? Śmieszne. Jak by w tym domu istniało cokolwiek, co mogłaby nazwać swoim.

Głuche stuknięcie zatrzaśniętych drzwi. Spojrzenie Ireny zatrzymało się na kluczu, pobłyskującym w ciemności. Przekręcić raz, drugi – wtedy byłaby wreszcie sama. Naprawdę sama.

Wyciągnięta ręka opadła w połowie drogi. To nie dałoby absolutnie nic. Teraz, czy za parę godzin... Nie uniknie czekającej jej sceny.

Przytknęła rozpalone czoło do chłodnej wilgoci szyby. Od dawna już nie miała złudzeń co do jego uczuć. Początkowo traktował ją jak ładną zabawkę – potem był już tylko jego despotyzm, niepohamowana gwałtowność. Nie tylko ona odczuwała jej skutki. Nienawidzili go wszyscy. Na cóż więc mogła liczyć? Jeżeli uprze się i nie udzieli zgody na rozwód? To było więcej niż prawdopodobne. Pozostawałaby tylko śmierć. Jej, albo...

Zacisnęła powieki. Nie myśleć, nie czuć, na chwilę o wszystkim zapomnieć. Ale to nie było możliwe. Obiecała Stefanowi: jeszcze tylko parę dni.

Nagle w senną ciszę wtargnął głuchy, daleki jeszcze odgłos. Kroki? Zaczęła nad słuchiwać z niepokojem. Tak, to były kroki. A więc idzie. Za chwilę otworzy drzwi.

Idzie – wsłuchiwała się martwo. Cóż była w stanie na to poradzić? Drgnęła. Kroki oddalały się, cichły. Ich odgłos był głuchy i mylący. Nie pozwalały określić kierunku. Dokąd szedł profesor Letyński? Może do lodówki po swoją kawę? Splecione palce zacisnęły się kurczowo. Lodówka, kawa, noc. Czyż to nie było najprostsze wyjście?

I znów stukot kroków. Tym razem już nie w głębi mieszkania. Na ulicy? Chyba właśnie tam. Ktoś obcy. Przechodzień? Spojrzała w dół. Ciemna sylwetka na pustej ulicy. Ten człowiek biegł. Nagle oczy Ireny rozszerzyły się. To nie był ktoś obcy. Czyż mogła nie poznać? Bliżej, coraz bliżej. Już przed samą furtką. Nie zamknęła jej wchodząc. Światło latarni ulicznej padło prosto na twarz Stefana.

Serce tłukło się rozpaczliwie. Pod łopatką zaczął świdrować znajomy ból. Zapowiadał atak.

Widziała teraz wszystko z przerażającą dokładnością. Twarde rysy Stefana, błyszczące oczy, nawet jego ręce zaciśnięte w pięści.

Ból stawał się nie do wytrzymania. Nie mogła oddychać. Najwyższym wysiłkiem woli oderwała się od okna. Nie, Stefan nie może tego zrobić... Jeżeli już tak być musi, to... Ona... ona sama. Niepewnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi.

III

Palił papierosa po papierosie, krążył po pokoju. Potraçał o sprzęty, odrzucał je wściekłymi kopnięciami, mówił coś półgłosem, przystawał i znów chodził niespokojnym, nierównym krokiem. Był sam, ale dźwięk własnego głosu jak by dodawał mu odwagi. Tak bardzo jej w tej chwili potrzebował. – Dosyć! – wykrzyknął. Zabrzmiało tak głośno, że znieruchomiał, wlepiając strwożony wzrok w szarzejący prostokąt drzwi. Dokoła w dalszym ciągu panowała niczym niezmacona cisza.

Miał wrażenie, że minęły całe wieki, zanim na nowo podjął swą wędrówkę bez celu i sensu. Był już zdecydowany. Ojciec pracował u siebie w gabinecie, Irena wróciła przed chwilą. Słyszał, jak wchodziła po schodach.

Zastuka do gabinetu, stanie przed biurkiem. Wtedy nie będzie mógł się cofnąć. Dałby wiele, by tego uniknąć, nie było jednak żadnego innego wyjścia. Czyż go nie szukał? Kilka ostatnich dni spędził na gorączkowych rozmyśleniach, rozważył i sprawdził wszystkie możliwości. Ale cała ta szarpanina do niczego nie doprowadziła. Trudno. Każdy ma prawo do życia. Stos książek, uderzony z rozmachu pięścią, poleciał z hałasem na podłogę. Znowu stanął, nad słuchując z natężeniem. Nic. Cisza.

Więc pójdzie. Prędzej czy później bomba i tak musi wybuchnąć. Ojciec? To już tylko pusty dźwięk. Nie, nie budził w nim żadnych uczuć, poza nienawiścią. Zresztą na refleksje było już za późno. Pozostawała jedna jedyna droga i nią właśnie musi iść.

Zawrócił ostro na pięcie i podszedł do drzwi. Gdzieś za ścianą zaczął wydzwaniać zegar. Nie liczył jego uderzeń. Wszyscy śpią. Nikt nie usłyszy, nikt nie będzie wiedział. Przeciągle zgrzytnęły zawiasy.

Szedł ciemnym korytarzem. Był jak w transie. Jeżeli zawróci – wszystko skończone. Jutro znów zabraknie mu odwagi. Nie może zawrócić. Kilka chwil i będzie już po wszystkim. Tylko kilka chwil. Na to mógł się przecież zdobyć.

IV

Trzasnął grafit naciśniętego z pasją ołówka. Czarne okruchy poleciały na upstrzony zawiłymi wzorami arkusz. Na nic. Wciąż nie to. Przeklęty labirynt, z którego nie potrafi znaleźć wyjścia. Oczy profesora Letyńskiego błędziły po wielopiętrowych rusztowaniach cyfr, symboli i znaków. Siedział długo, ssąc tępy koniec ołówka. Zaklął. Dwoma grubymi krechami przekreślił końcowe równanie. Znowu wiele godzin straconych bezpłodnie.

Przekartkował nerwowo arkusze, szukając błędu. Gdzieś musiał przecież tkwić. Narasta tępy ból głowy, powraca stan depresji. Błąd? Tu wszystko było błędem. Od początku do końca.

Wstał ociężale, przechodząc do sypialni, która sąsiadowała z gabinetem. Sięgnął mechanicznie, ruchem przyzwyczajenia. Skrzypnięcie wysuwanej szufladki. Spod wieczka aptecznego pudełka wyjrzał rząd spiczasto zakończonych ampułek. Ręce profesora Letyńskiego drżały lekko. Wyjął niezgrabnie jedną z ampułek. Ale od momentu gdy poczuł chłód strzykawki, jego ruchy stały się szybkie i precyzyjne. Niecierpliwie podciągnął nogawkę spodni. Igła zagłębiła się pod skórę.

Opadł miękko na fotel, opuścił bezwładnie ramiona, nogi wyciągnął na całą długość. Czekał na działanie narkotyku. Ale ulga nie przychodziła. Trzeba było wziąć jeszcze jedną ampułkę.

Ten głuchy odgłos? Podniósł powoli głowę. Złudzenie? Nie, to nie było złudzenie. Ktoś szedł korytarzem. Kto? Wszyscy śpią. Prawda – wargi wykrzywił mu nieprzyjemny grymas – nie wszyscy. Irena wróciła dopiero przed chwilą.

Czyżby to była ona? W nocy, z własnej woli? Jej wizyta mogła mieć tylko jeden, jedyny cel. Tym celem była ostatnia, decydująca rozmowa. Uśmiechnął się ironicznie. Wstał, opierając się o poręcz fotela. Zastanie go w odpowiednim nastroju. Tych dwoje powinno zrozumieć, że ich plany były złudzeniem.

Postąpił w kierunku drzwi. Nagle przystanął, zdumiony. Nocny gość szedł ciężko i niepewnie. Mężczyzna? Kroki ucichły. Kto wejdzie do gabinetu? Czekal w napięciu. KTO?

V

Jutro, zaraz z samego rana – postanowiła w końcu. Aniela Kącik nie lubiła lekarzy, atmosfera przychodni budziła w niej lęk, ale bóle głowy wracały coraz częściej, stając się trudne do wytrzymania. W nocy zawsze było najgorzej.

– Pójdę – powtórzyła półgłosem.

Przesunęła zmęczonym wzrokiem po blaszanej tarczy budzika. Późno, okropnie późno. Państwo Żabicy śpią już od dawna. Niedobrze, gdy człowiek straci zdrowie. A jeszcze w obowiązku u obcych...

Podeszła do okna, otworzyła obie połówki na oścież, usiadła, przysuwając sobie taboret. Może świeże powietrze złagodzi ból, i przywoła upragniony sen.

Po przeciwniejszej stronie ulicy prostokąt oświetlonego okna. Spojrzała bez większego zainteresowania. Profesor Letyński zawsze przesiadywał do późna przy swoim biurku. Nagle drgnęła. Szeroko rozwarte oczy przywarły do jasnej plamy okna. Poderwała się gwałtownie. Chciała krzyknąć, wezwać ludzi na pomoc, wybiec z domu – nie uczyniła jednak nic. Bezwładna i niema, trwała w bezruchu. Po czole spływały łechcąc strużki zimnego potu.

Targnęła rozpaczliwie głową. Zamiast krzyku z jej ust wydobył się ledwo dosłyszalny szept. Głos ugrzął w gardle.

I nagle wszystko zniknęło przed oczu. Okno profesora Letyńskiego wypełniła nieprzenikniona czerń. To było jeszcze straszniejsze...

Nogi pod nią zdrząły. Jeszcze sekunda i upadnie na podłogę. Cofała się powoli, z rękami wyciągniętymi przed siebie.

Wstaje dzień

I

Bywają czasem takie paskudne dni, że lepiej je przespać bez reszty. Balbina doszła do tego wniosku wkrótce po wstaniu z łóżka. Od rana nic się jej nie wiodło. Budzik nie zadzwonił, zasnęła i nie zaniosiła profesorowi śniadania o ustalonej godzinie. Potem ledwo zdążyła włączyć elektryczną płytkę, spiralka prysnęła niebieskawym ogniem i szerniała. Pod kuchnią rozpaliała dwukrotnie, minęły całe wieki zanim wreszcie po grudkach drobno utłuczonego węgla zapełgał nikły płomień.

Spojrzała w lustro. Święty Józefie! Jak by ją całą unurzano w sadzy. Spienione mydło wyskoczyło spomiędzy palców, uciekało po podłodze, jak żywe. Jeszcze nie zdążyła odzyskać ludzkiego wyglądu, gdy od płyty kuchennej dobiegło zjadliwe syczenie. Wrząca kawa przelewała się przez wierzch dzbanka. Z patelni buchnął ostry swąd przypalonych jajek.

Miotła się nieprzytomnie po kuchni, wszystko leciało jej z rąk. W hallu basowo zaczął wydzwaniać zegar. Liczyła uderzenia zaginając palce. Wołała nie myśleć, co powie profesor. Z panicznym pośpiechem ustawiała nakrycie na tacy. Talerzyk od kompletu rozprysnął się na terakotowej podłodze w drobne okruchy. Nawet nie zbierała skorup. Odsunęła je nogą w kąt. No, będzie bal. Profesor nigdy nie był uprzejmy, nawet gdy spisywała się najlepiej.

Niemal biegła po schodach. Dziwne, że dotychczas nie dzwonił, albo i nie huknął z góry. Głos miał nie od parady. Nieraz aż człowiekowi serce podskakiwało do gardła.

Zapukała ostrożnie. Nie znosił hałasu. „Niech Balbina zrozumie, że to nie stodoła”. Żadnej odpowiedzi. Czyżby jeszcze spał? O tej porze? Święci Pańscy. To już koniec świata. Od tylu lat nie zdarzyło się, aby o tej godzinie nie był na nogach. Przeczekała chwilę, nabierając odwagi i zastukała ponownie. Tym razem o wiele głośniej. Znowu nic. Profesor z całą pewnością nie śpi. Gdzieżby tam... Utonął w tych swoich papierzyskach i świata bożego poza nimi nie widzi. Cóż było robić? Nacisnęła klamkę, weszła. W nozdrza uderzył słodko-cyklowy zapach. Podeszła bliżej.

Przeraźliwy krzyk przetoczył się pomiędzy ścianami.

II

Doktor Proliński wreszcie wstał z kłęczek. Nie tając ulgi narzucił na zwłoki prześcieradło. Długie lata przepracowane w Zakładzie Medycyny Sądowej, praktyka biegłego Komendy Głównej MO, przyzwyczyły go do niejednego. Ale to w każdym razie trudno by zaliczyć do specjalnie przyjemnych widoków.

– Hm... no cóż... – od dłuższej już chwili gnębiła go tęsknota za papierosem, spojrzawszy jednak na swoje ręce odsuwa je jak najdalej od siebie. – Cios twardym narzędziem o nierównej powierzchni. Bardzo silne uderzenie i raczej bardzo ciężkie narzędzie. Zmiażdżenie kości czołowej, niewątpliwie przebicie kory mózgowej, prawdopodobnie odłamki kości w mózgu. Twarz... – wzruszył ramionami – sami widzicie, jak z tym jest. Złamanie szczęki dolnej, zęby... Śmierć nastąpiła momentalnie, około czterech, do sześciu godzin temu. To tymczasem byłoby wszystko, co można stwierdzić na podstawie powierzchownych oględzin. Resztę wykaże sekcja. Prawdę mówiąc, wątpię by ta reszta miała jakieś poważniejsze znaczenie.

– Czy wchodzi w rachubę rękojeść pistoletu? – zapytał kapitan Białkowski.

– Nie sądzę. Musiałoby być tych ciosów bardzo dużo. Moim zdaniem morderca użył przedmiotu znacznie większego, o ostro zaznaczonych wypukłościach. Ale, rzecz jasna,

trudno mieć stuprocentową pewność – znowu odchrząknął. Lepkie plamy na dłoniach nie wpływały bynajmniej dodatnio na samopoczucie.

– Gdzie tu jest łazienka? – spojrzał pytająco na referenta śledczego Zaczka, który pracowicie wyrysowywał szkic sytuacyjny, raz po raz zaglądając do leżącego obok notesu – wy tu pewno jesteście już jak u siebie w domu.

– Prawie – potwierdził z przekonaniem Zaczek. – Łazienka?

– popatrzył na plan – proszę bardzo. W tym samym korytarzu, trzecie drzwi na lewo. Pozostałe instalacje sanitarne tamże.

Prolński uśmiechnął się.

– Dziękuję. Tymczasem chodzi mi tylko o umywalnię – wyszedł, otwierając drzwi łokciem.

– Ciężkie narzędzie o ostro zaznaczonych wypukłościach – rozmyślał na głos porucznik Roliński – skoro rękojeść pistoletu nie może być brana pod uwagę, odpadają z tych samych względów młotki, obuchy siekier i tym podobne. Nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju łomach czy rurach.

Kapitan błdził wzrokiem po antycznych krzesłach. Wreszcie podszedł do stojącego najbliżej i uniósł je nieco.

– Ciężkie – wodził palcami po wypukłej rzeźbie umieszczonej na tyle oparcia. – Przyklejona? Chyba nie. Twarde – postukał paznokciem w drewno. – Jaki to właściwie może być styl? Nigdy nie widziałem niczego podobnego.

– Dziękuję mojej szczęśliwej gwiazdzie, że ja także nie – Roliński nachylił się nad krzesłem – takie coś może się przyśnić po nocy. Nic łatwiejszego, jak wyobrazić sobie takie krzesło w rękach mordercy o makabrycznej wyobraźni.

– Cóż – rzekł w zamyśleniu Białkowski – i ciężar, i nierówna powierzchnia o ostro zaznaczonych wypukłościach, zgadza się wszystko.

– Tak, ale jeżeli chodzi o ślady? – zapytał niepewnie Zaczek. – Przy takiej galarecie musiałyby jakieś pozostać.

– Zapewne – kapitan oglądał jedno krzesło po drugim. – O proszę – przystanął. To krzesło było odwrócone, w taki sposób, że dotychczas nie widział jego tylnej powierzchni. – Są ślady.

Zaczek zerwał się tak gwałtownie, że szkic razem z ołówkiem poszybowały na dywan.

– Krew? – wlepił oczy w ciemne plamy pokrywające przemyślny ornament drewnianej rzeźby.

– Nic innego.

– Krew – potwierdził Roliński – widać na pierwszy rzut oka.

Prokurator Zabelik podszedł z pośpiechem.

– Krzesło?

Starannie przetarł chusteczką szkła okularów. Tak, niewątpliwie krew. Krzesło jako narzędzie mordu? Koncepcja, jaką im przedstawiono, zanim przybyli na miejsce zbrodni, zdawałoby się wykluczać taką możliwość.

– Dziwne – mruknął Zabelik.

– Dziwne – Białkowski wodził soczewką lupy po oparciu krzesła – ale chyba raczej prawdziwe. Zresztą od samego początku, gdy spojrzałem na trupa...

– Od razu wiedzieliście, kapitanie, że morderstwo zostało popełnione krzesłem? – Zaczek spojrzał na niego z ukosa.

– No, nie. Ale rodzaj śmierci w najmniejszej nawet mierze nie odpowiadał temu, co spodziewaliśmy się tu zastać.

– Nie odpowiadał – powtórzył jak echo prokurator. – Zgadza się jak w aptece. Ale coś się jednak nie zgadza.

III

Sucho trzaskały flesze. Ekipa techniczna ukończyła drobiazgowo badanie dywanu.

– Są jakieś czytelne odciski stóp? – zapytał Białkowski.

Porucznik Fijałkowski strzelił palcami.

– Mapa niezbadanych obszarów, puc i w ogóle chiński labirynt.

– Dlaczego akurat chiński? – wtrącił Zaczek:

– Tak sobie. Dla fasonu.

– Miałem nadzieję, że jednak coś odnajdziecie – westchnął z rozczarowaniem

Białkowski – na dworze tak mokro...

– Mokro – Fijałkowski pedantycznie otrzepywał spodnie na kolanach – fakt. Niestety beton to nie ziemia. Wasz morderca musiałby specjalnie szukać błota, żeby nam zrobić przyjemność. A tego dywanu chyba nie czyszczono od tysiąca lat. Całe pokolenia łąziły po nim tam i z powrotem.

– Może lepiej wam pójdzie w korytarzu, albo na schodach?

Gruby chodnik i wcale nie cieńszy kokos, to już coś.

– Przypuszczam, że wątpię. Skoro tu nie ma zwyczaju sprzątać w gabinecie pana domu, co dopiero mówić o mniej reprezentacyjnych terenach. Ano, popatrzmy.

Na dany przez Fijałkowskiego znak sierżant Sokal ujął bez przekonania walizkę śledczą. Po jego minie widać było, że również nie wierzy w celowość ich pracy. Zaczek patrzył w ślad za nimi.

– Nie rozumiem. Chyba im więcej kurzu, tym wyraźniejsze odciski stóp?

Białkowski potrząsnął głową.

– Wniosek słuszny pod warunkiem, że po tym kurzu chodzi tylko jeden człowiek. Gdy jednak ślady nawarstwiają się od diabli wiedzą jak dawna, sytuacja jest beznadziejna.

Fijałkowski ma rację: labirynt.

Do zakrwawionego krzesła podszedł fotograf.

– Z trzech pozycji, jak zawsze?

– Choćby z dwunastu – zawołał Białkowski – niech się wam wydaje, że to miss piękności.

– Dziękuję za taką miss.

– Proszę uprzejmie. Idźcie do diabła z tym fleszem – złapał go nagle za rękaw – będą nam potrzebne bardzo dokładne powiększenia. Nie łaska włączyć lux drugi?

– Włączyć to włączyć – fotograf nieznacznie wysunął zegarek spod mankieta. –

Niedziela, psiakrew!

Zrobił kilka zdjęć pod bacznią kontrolą kapitana.

– Starczy? Żadna miss nie żądałaby więcej.

– Niech stracę. Teraz jeszcze parę ogólnych pejzaży, czyli landszaftów.

– Robiłem już przecież.

– Ba! Przy fleszu wychodzą niekiedy różne cudenka. Moja dewiza: pewność i zaufanie.

Dopiero lux daje mi pełną satysfakcję moralną.

Fotograf zaklął pod nosem i znowu spojrzął na zegarek. Zrobił naprędce dwa zdjęcia.

Białkowski go powstrzymał w momencie, gdy już zamierzał schować aparat.

– Nie jestem pewien, czy objęło całość.

Łypnął na niego wściekle okiem.

– Gwarantuję, że znajdziecie na zdjęciu każdy szczegół.

– Nie gwarantujcie. Film nawali, meble poprzestawiają i gdzie potem szukać stanu poprzedniego? Sprawa, uważacie, taka, że każdy włos będą dzielić na cztery części. Lepiej więc nie ryzykować.

IV

Sokal postawił ostrożnie na ziemi ciężkie pudło walizki śledczej. Fijałkowski pogwizdywał ze złością.

– Nic? - zapytał Białkowski.

– Owszem – sarknął – wygniecione spodnie i pełne gardło kurzu. Osobie odpowiedzialnej za czystość tego domu zaaplikowałbym ze spokojnym sumieniem dziesięć lat ciężkiego kryminału.

– A więc – prokurator kreślił coś z roztargnieniem na bloczku, ale był to raczej rysunek niż notatki – w rezultacie materiał dotyczący wejścia sprawcy niezbyt zachwycający.

– Był, zamordował – mruknął ponuro Białkowski. – Ale którądy wszedł?

– Brak kurzu na parapecie okiennym – przypomniał Zaczek, Białkowski znowu podszedł do okna. Prawda: tu nie było kurzu.

Otworzył okno i wychylił się na zewnątrz. Gzyms szerokości co najmniej półtorej dłoni, dalej miedziana rynna umocowana na solidnych hakach. Sprawca mógł tędy wejść, czy jednak wszedł rzeczywiście? Brak kurzu nie świadczył jeszcze o niczym. Śladów i tutaj nie udało się stwierdzić. Nie odkrył nic konkretnego pomimo długiego manipulowania lupą.

– Licho wie – odwrócił się zniechęcony. – A jak tam z odciskami palców na naszym krześle?

Magister Snarski właśnie naciskał ostrożnie gruszkę rozpylacza. Srebrzysty pył aluminium osiadał na czarnym drewnie.

– Jak we wzorcowym albumie dla początkujących daktyloskopów.

Kapitan podszedł powoli. To też było dziwne. Nie powinno być odcisków palców. Nie powinno być zresztą również i tego krzesła opryskanego krwią.

– Aż tak?

– Aż tak. Linie papilarne wyraźne, ślepy potrafiłby je zidentyfikować. Musiał mieć mocno spocone ręce.

– Morderca zawsze się poci w momencie dokonywania zbrodni – wygłosił sentencjonalnie Zaczek.

Prokurator popatrzył z filozoficzną miną w sufit. Jeżeli ten żółtodziób zechce teraz cytować wszystko, cokolwiek na ten temat zdołał gdzieś wyczytać...

– Nie zawsze, synu – powiedział pobłażliwie kapitan.

Zaczek zaperzył się.

– Znany kryminolog niemiecki Kurt Schalke pisze...

Białkowski nie dał mu jednak skończyć.

– Wiemy, że Schalke jest znanym kryminologiem, i wiemy, co pisze. Ale wiemy również, że morderca nie zawsze się poci. Niestety, nie istnieją schematy, przystające do każdego wypadku i do każdego człowieka.

– Teoria jednak...

– Teoria! – kapitan machnął ręką. – To dobre na szkoleniu. Ale na co dzień tylko praktyka ma znaczenie. Jeszcze małe kilkanaście lat pracy i nie trzeba wam będzie tego powtarzać.

– Otóż to – prokurator przyglądał się apatycznie rzeźbom na oparciu krzesła – ileż to razy rozważania teoretyczne prowadzą śledztwo w absolutnie fałszywym kierunku. Wziąć choćby... – urwał. Miał na myśli właśnie ten wypadek. Jeżeliby przyjąć teoretyczną koncepcję ministerstwa, wszystko, co zastali na miejscu, trzeba by uznać za pozbawione sensu. I mechanizm zbrodni, i jej sceneryę.

– Co pan chciał powiedzieć, prokuratorze? – Zaczek patrzył wyczekująco.

Ręka Zabelika wykonała nieokreślony gest.

– Nic specjalnie ważnego. Można by przytoczyć dziesiątki sytuacji, w których rzeczywisty stan rzeczy nie ma nic wspólnego z tym, co zostało wysnute z teoretycznych spekulacji. Hm, tak – długo obracał w palcach wyjętego z pudełka papierosa. – To nie jest takie proste. Na kiedy będziecie gotowi z odbitkami, magistrze? – zapytał po chwili milczenia.

Snarski walczył z gwałtowną chęcią ziewania. Nie spał tej nocy prawie wcale. Ledwo zdążył zerknąć na własne łóżko, kiedy wezwano go na drugi koniec miasta. Brydż trwał do rana, a wódka, którą go zakrapiano, jeszcze szumiała w głowie.

– Powiedzmy, pojutrze – bąknął słabo. W tej chwili nie był w stanie myśleć o niczym.

– Pojutrze? Mowy nie ma – zaprotestował gwałtownie prokurator.

Snarski popatrzył na niego tępo.

– Piekielnie dużo materiału – bąknął – i nie mam przecież na karku tylko tej jednej sprawy.

– Będziecie mieli tylko tę jedną. Inne mogą poczekać.

– Powiedzmy. Ale i tak wcześniej nie dam rady. Wziąć choćby tylko same arkusze...

– Musicie dać radę. Góra nie da nam żyć. Interesuje się tą sprawą specjalnie.

„Czarna kawa – pomyślał tęsknie Snarski – jedna filiżanka, druga. To postawiłoby człowieka na nogi”. Tylko, że tu nie było czarnej kawy.

– Specjalnie! – odłożył ze złością rozpylacz. – Nie powiem, żeby ta piosenka była dla mnie czymś nowym. Ale refren „na wczoraj” dawno już zdążył wyhodować siwą brodę.

– Czy nie rozumiecie, magistrze, czym może grozić zwłoka, jeżeli przewidywania ministerstwa okażą się zgodne z prawdą? – prokurator przeszedł na ton łagodnej perswazji.

Snarski ujął ponownie rozpylacz.

– Ostatecznie na jutro w godzinach popołudniowych – zdecydował wspaniałomyślnie – wystarczy?

– Jeżeli naprawdę nie możecie wcześniej...

– Wcześniej – tym razem nie zdołał powstrzymać ziewnięcia – czemu nie? Jeżeli macie zamiar ilustrować akta naprędce skleconą partaniną...

Zabielik nie miał ochoty na partaninę. Przestał więc nalegać, choć wiedział, co będzie musiał znieść nazajutrz. Telefon za telefonem, pytania, pretensje, ponaglenia.

– Macie jeszcze jakieś żądania? – spytał Snarski z miną męczennika.

– Odpocznijcie sobie, magistrze – mruknął kapitan – oglądałem klamki u drzwi wejściowych, nic tam nie zwojujecie.

Snarski z niemą skargą uniósł wzrok ku górze. Zapadła cisza.

Kapitan Białkowski nagle podniósł głowę. Twarz jego przybrała dziwny wyraz. Miętko, jakimś kocim krokiem podbiegł ku drzwiom i otworzył je nagłym szarpnięciem. Wychylony górną połową ciała na zewnątrz trwał przez chwilę w bezruchu. Potem cofnął się i wzruszywszy ramionami wrócił na dawne miejsce. Drzwi pozostały lekko uchylone.

Prokurator obserwował go ze zdumieniem.

– O co chodzi?

– Nie, nic – wciąż jednak nadśluchiwał – zdawało mi się.

Zaczek i tym razem nie pominął okazji do zabrania głosu.

– Ja też słyszałem na korytarzu szmery – oznajmił triumfująco – nawiasem mówiąc bardzo podejrzone.

Kapitan westchnął z ubolewaniem. Kiedy wreszcie ten świeżo upieczony absolwent kursów śledczych nauczy się, że nie wszystko, co się zauważy, trzeba zaraz wyrzaskiwać na cały głos? Nie zrobił jednak żadnej uwagi.

Zabielik również nie podjął tematu. Tajemnicze szmery na korytarzu? To dobre w powieści. Białkowski był oczywiście w porządku, lepiej przesadzić niż zlekceważyć

najbardziej nawet nieprawdopodobną możliwość. Zaczek we wszystkim węszy sensację. Stan normalny dla początkowego okresu pracy w śledztwie.

Pierwszy odszedł fotograf.

– Będziecie mieli całe albumy – powiedział żegnając się.

Fijałkowski z Sokalem kończyli pakowanie przyborów.

– U nas żadnych cudów – Fijałkowski uderzył pięścią w zatrząsk walizki, który uparcie odskakiwał – stracić tyle czasu, by stwierdzić, że nie było nic do stwierdzenia?

– To jednak też potrzebne – pocieszył go Białkowski.

Chorąży Roliński od dłuższego już czasu tkwił przy pancерnej kasie, stojącej w kącie gabinetu. Drzwiczki jej zastali otwarte na oścież.

– Tak – odchrząknął z zastanowieniem – wszystko dobrze, ale gdzie właściwie profesor

Letyński przechowywał pieniądze?

Prokurator podszedł i zajrzał mu przez ramię.

– Nie ma tu nic?

– Ani złamanego grosika.

– Może książeczka PKO? – wysunął przypuszczenie kapitan. Roliński potrząsnął głową.

– Jeżeli zawrotna suma pięciu złotych polskich wystarczy na prowadzenie tego domu, to owszem. Leży zresztą sobie spokojnie od roku i procentuje.

– Żadnych dalszych zapisów?

– Żadnych.

Kapitan otworzył ostrożnie tępy koniec długopisu leżący na biurku portfela i zajrzał do jego wnętrza.

– Tutaj także puchy – potarł w zamyśleniu podbródek – swoją drogą to dziwne.

– Oczywiście mord rabunkowy – powiedział niby do siebie Zaczek. Mina jego świadczyła o głębokim podziwieniu dla własnej domyślności.

– Dziwne – powtórzył jak echo prokurator. Również i to, w świetle koncepcji ministerstwa, nie miało żadnego sensu.

– Tym bardziej – kapitan zajrzał do swych notatek – że same pobory Letyńskiego jako profesora politechniki wynosiły około sześciu tysięcy złotych. Nie licząc stałych wpływów z tytułu eksploatacji wynalazków. A dziś mamy dopiero piąty dzień miesiąca.

V

– Zaczek rozdał nozdrza jakby coś węsząc w powietrzu.

– Znowu ktoś chodzi po korytarzu – oznajmił konspiracyjnym szeptem.

Tym razem jednak odgłos kroków był mocny i wyraźny. Jeszcze chwila i na progu stanął doktor Prolński. Zaczek popatrzył na niego z nie ukrywanym rozczarowaniem.

– Ach, to pan...

Doktor parsknął śmiechem.

– Nie, skądże znowu. Ucharakteryzowany na mnie morderca.

Zaczek łypnął nań złym okiem, chciał coś odpowiedzieć, nie znalazł jednak dostatecznie ciętej riposty, więc ograniczył się do pogardliwego wzruszenia ramionami.

– Przy sposobności – doktor usiadł na poręczu fotela – zajrzałem do wdowy.

– Aha – kapitan zamknął długopisem portfel zmarłego – i jakie jest pańskie zdanie?

– No cóż – wytarł pedantycznie chustką ustnik swej cygarniczki – badałem ją raczej pobieżnie, ale nawet na podstawie tego mogę stwierdzić, że diagnoza domowego lekarza jest jak najbardziej uzasadniona. W najbliższym czasie nie może być mowy o przesłuchaniu.

– Co pan nazywa najbliższym czasem?

– Czy ja wiem... W każdym razie jakieś trzy, cztery dni. Może to zresztą potrwać znacznie dłużej.

Kapitan ściągnął brwi.

- To niedobrze. Co jej dolega?
- Serce. Stan określiłbym raczej jako poważny.

Kapitan rozmyślał przez chwilę.

- Czy atak nastąpił już po znalezieniu przez służącą zwłok?
- Tego nie zdołałem ustalić. Kolega, który ma ją w opiece, również nie wie. Został wezwany dopiero przed dwiema godzinami.
- No cóż... spróbujemy ustalić ten moment. Może mieć dla sprawy niejakię znaczenie. Zaczek uniósł porywczo głowę znad swego planu.
- Jasne. Gdyby zostało na przykład ustalone, że dostała ataku przedtem. W wyniku jakiegoś wstrząsu psychicznego.

Twarz doktora przybrała wyraz dobronudusznej pobłażliwości.

- Niech pan naciśnie hamulec, panie Holmes. Ona tu w żadnym wypadku nie może wchodzić w rachubę.
- Dlaczego? – ale to pytanie padło już z ust Białkowskiego, przez co sprawa nabrała od razu innego ciężaru gatunkowego. Kapitan nie uznawał wykluczania z góry jakichkolwiek ewentualności. W iluż to wypadkach zdarzało się, że właśnie najbardziej niedorzeczny na pozór trop prowadził do celu.
- Ona? – doktor strząsnął narosły na końcu papierosa popiół. – Żebyście zobaczyli to chuchro. Nie mówiąc już o jej obecnym stanie, można być pewnym, że nawet przy najlepszej kondycji nie byłaby w stanie zadać podobnego ciosu. Znaleźliście już narzędzie?
- Być może. Powiedzcie mi, doktorze, czy na przedmiocie, którego użyto do morderstwa, musiałyby pozostać strzępy tkanki?
- To zależy od kształtu tego przedmiotu.
- Orzekliście: nierówna powierzchnia o ostro zaznaczonych wypukłościach.
- Różne bywają nierówne powierzchnie i różne wypukłości.
- Co byście powiedzieli o jednym z tych krzesel?
- Krzesło? – podniósł, stęknął z wysiłku i postawiwszy z powrotem na dywanie obmacał rzeźbę na oparciu. – Przy odpowiedniej sile uderzenia można by tym zabić nawet bawoła.
- Zmiażdżona twarz, kość czołowa i tak dalej?
- Oczywiście.
- I ofiara akurat nadstawiła twarz?
- Nazwijmy to raczej: podniosła. Instynktowny odruch spojrzenia na coś co zagraża śmiertelnym niebezpieczeństwem.
- Ja na przykład nie podstawiłbym się tak łatwo. Powracając jednak do kwestii wyjściowej...
- A więc, powracając do kwestii wyjściowej: Czy do tego rodzaju nierównej powierzchni musiałyby przylgnąć strzępki tkanki ludzkiej?

Prolński zastanowił się.

- Mogłyby, ale nie musiały. W każdym jednak razie zostałyby ślady krwi.
- Owszem – Białkowski ujął go pod ramię i podprowadził ku krzesłu, które przed kilkoma minutami odstawił Snarski – jest krew.

Doktor patrzył w zamyśleniu.

- No cóż, więcej niż prawdopodobne. Ale w tych warunkach Letyńska tym bardziej nie może być brana w rachubę. Nie była by w stanie nawet podnieść takiego krzesła. Musiałaby chyba wynająć tragarza.
- Każdy powinien być brany pod uwagę – mruknął Zaczek.

Doktor odwrócił się ku niemu porywczo.

– Nonsens. Rozumiałbym jeszcze pańskie stanowisko, gdyby chodziło o truciznę, ale tutaj...

– A skąd możemy wiedzieć, że nie chodzi o truciznę?

– Co pan powiedział? – doktor miał taką minę, jak by zastanawiał się nad stanem równowagi psychicznej Zaczka.

– Czy można już w tej chwili wykluczyć, że ofiara została otruta, a dopiero następnie zmiotła jej twarz? – pytał uparcie Zaczek.

– Ale co to miałyby za sens?

– Nie odpowiedział mi pan doktor na moje pytanie.

– Hm... No więc, oczywiście, nie można niczego wykluczyć przed dokonaniem sekcji zwłok.

– Otóż to: Teraz zatem nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności co do bezpośredniej przyczyny śmierci. Przypuśćmy, że Letyński został otruty, następnie zaś... Do wywrócenia krzesła na twarz nieżyjącego człowieka nie potrzeba zbyt wielkiej siły.

Prolński potrząsnął głową.

– Jakież by to miało cel?

– Cel? Choćby poplątanie śladów. Ktoś oczywiście niezdolny do zadania żywemu człowiekowi podobnego ciosu od razu stanąłby poza wszelkimi podejrzeniami.

– Ten ktoś musiałby być bezgranicznie naiwny.

– Może był naiwny. Nic przecież nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z rutynowanym przestępcą.

– Każdy jednak wie, że badanie zwłok ujawniłoby natychmiast mistyfikację.

– Nie każdy. Gotów byłbym się założyć, że znacznie więcej jest takich, którzy nie wiedzą.

Białkowski szybko nachylił twarz nad notesem, by ukryć uśmiech, którego nie był w stanie powstrzymać. „Nie każdy”. Chłopak robi błyskawiczne postępy. Teraz wprawdzie na pewno nie ma racji. Zmiotła czaszka – to było oczywiste. Ale biorąc rzecz z czysto formalnego punktu widzenia, nie można było odmówić Zaczkowi pewnej racji.

Prolński wzruszył ramionami, ale nie powiedział już nic. Posapywał tylko z oburzeniem. Białkowski ponownie zagłębił się w notatkach. Niepokoilo go wciąż to samo pytanie. Którędy właściwie wszedł morderca? Najprościej byłoby przyjąć, że normalną drogą, to jest przez drzwi wejściowe i następnie po schodach. W takim razie jednak musiałby przechodzić obok kuchni. Schody dzieliła poza tym niezbyt gruba ściana od pokoiów mieszkalnych.

– Kto mieszka tutaj? – dotknął palcem sporządzonego przez Zaczka szkicu.

– Wdowa – znowu szczególne brzmienie głosu. Zaczek, jak widać, nie rezygnował ze swojej koncepcji. Białkowski poczuł zmęczenie. Jeszcze nie rozpoczął na dobre śledztwa, a już podsuwano mu gotowe schematy, na temat wykluczających się wzajemnie wersji. Nikt przy tym nie liczył się z faktami. Sugestie ministerstwa, fantazje młodego referenta; tymczasem rozwiązanie tkwić mogło poza wszystkimi rozważonymi dotychczas ewentualnościami. Choćby w fakcie braku pieniędzy w kasie pancерnej.

Jednakże przypuszczeń Zaczka nie można było całkowicie lekceważyć. Kilkanaście lat różnicy pomiędzy małżonkami doprowadza niekiedy do zgoła tragicznych komplikacji. Poza tym, jeżeli ktoś szedł po schodach, Letyńska powinna by usłyszeć kroki. Chyba, że nie chciała usłyszeć.

Letyńska chwilowo była niedostępna. Być może potrwa to długo. Nie, ta droga tymczasem prowadzi do nikąd.

Jeżeli chodziło o kuchnię... Jeszcze raz sprawdził na szkicu.

– Sądzę, że byłoby dobrze przesłuchać tak zwaną pomoc domową – powiedział na głos. Widział Balbinę przelotnie, gdy otwierała im drzwi. Nie sprawiała wrażenia osoby zdolnej do

specjalnej chytrności. Poza tym należało wątpić, by mogła być w jakiś sposób zaangażowana w sprawę morderstwa.

– Tutaj? – prokurator spojrzął znacząco na podłużny kształt pod prześcieradłem.

– Niekoniecznie tutaj. Obok – przesunął palcem po szkicu – jest jakiś pokój.

– Stołowy – wyjaśnił Zaczek.

– Bardzo odpowiednie miejsce do pogawędki. Najwyższy czas, by zacząć przesłuchania. Zaczniemy od tej czyścioszki.

Zaczek poderwał się z gotowością.

– Zaraz dostarczę gratis i franco – wybiegł pośpiesznie.

Przeszli do stołowego. Czarne meble, tak monumentalne, że aż przytłaczały swym ogromem. Ciemne ściany, do połowy wyłożone dębową boazerią. Stare obrazy w szerniałym złocie ram. Patynowany brąz olbrzymiego żyrandola.

Prokurator rozejrzał się.

– Rodzinny grobowiec. Wyobrażam sobie, że nawet najdogodniejszy człowiek przebywając w takim otoczeniu musi się w końcu stać melancholikiem.

– Ponure wnętrze – potwierdził Białkowski, odsuwając jedno z krzeseł. Było niewiele lżejsze od tych w gabinecie. – Wśród tych czarności nie miałbym chyba ochoty nawet na indyka. Chociaż... – potarł z zastanowieniem czubek nosa – kto wie?

Prokurator roześmiał się.

– Nie mielibyście nic przeciwko praktycznemu sprawdzeniu swoich możliwości?

– Indyk... – Białkowski pogłaskał się po brzuchu – do tego z borówkami. Cholera – westchnął entuzjastycznie. – A człowiek nawet nie miał czasu zjeść porządnego śniadania!

Nieobecność Zaczka przeciągała się zastanawiająco. Prokurator coraz częściej zerkał na zegarek.

– Co on tam? Bada na własną rękę?

Kapitan skrzywił się. To byłoby wbrew wszelkim zasadom.

– Nie – bąknął niepewnie – chyba nie...

Zamierzał sprawdzić co się dzieje na dole, gdy wreszcie weszli.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI